

**EDYTA ŚWIĘTEK**

**SANDOMIERSKIE WZGÓRZA**

**SIŁA MĘSKIEGO  
HONORU**

© Wydawnictwo WAM, 2026

© Edyta Świętek, 2026

Opieka redakcyjna: Agnieszka Ćwieląg-Pieculewicz

Redakcja: Monika Orłowska

Korekta: Maria Armatowa, Katarzyna Onderka

Projekt okładki: Mariusz Banachowicz

Skład: Lucyna Sterczewska

ISBN 978-83-277-3730-4

MANDO

ul. Kopernika 26 • 31-501 Kraków

tel. 12 62 93 200

[www.wydawnictwomando.pl](http://www.wydawnictwomando.pl)

DZIAŁ HANDLOWY

tel. 12 62 93 254-255

e-mail: [handel@wydawnictwomando.pl](mailto:handel@wydawnictwomando.pl)

Druk i oprawa: POZKAL • Inowrocław

Publikację wydrukowano na papierze MasterBook 70 g vol. 2.0  
dostarczonym przez EUROPAPIER Polska sp. z o.o.

## SPIS ROZDZIAŁÓW

Rodzina Skoczylasów . . . . .	5
W poprzedniej części . . . . .	7
1 Kobięce troski . . . . .	9
2 Marzenia . . . . .	19
3 Damskie i męskie problemy . . . . .	37
4 Awantury . . . . .	55
5 Troskliwi rodzice . . . . .	79
6 Trudności . . . . .	87
7 Pragnienia . . . . .	101
8 Chwile dobre i złe . . . . .	119
9 Fiasko . . . . .	131
10 Dług wdzięczności . . . . .	143
11 Mniejsze zło . . . . .	157
12 Swary, dylematy i pojednanie . . . . .	169
13 Goście . . . . .	181
14 Pantoflarze . . . . .	191
15 Wspólnik . . . . .	203
16 Spółka . . . . .	223
17 Kwestia honoru . . . . .	233
18 Siła kobiecej złości . . . . .	247
19 Cel uświęca środki . . . . .	259
20 Trudne zadania . . . . .	273
21 Bolesne powroty . . . . .	297
22 Czas próby . . . . .	311
23 Sztylet . . . . .	323
24 Porachunki i rozliczenia . . . . .	337
25 Tajemnica przekłętego sztyletu . . . . .	347
 Bibliografia . . . . .	 363

## *Rodzina Skoczylasów*

Weronika Skoczylas z d. Gądek, ur. 1886 r.

Bolesław, ur. 1882 r. – mąż Weroniki

Krzysztof i Anzelm Skoczylasowie – teściowie Weroniki, rodzice Feliksa, Wojciecha, Bolesława i Zofii

Dzieci Weroniki i Bolesława:

Tadeusz, ur. 1909 r.

Maciej, ur. 1910 r.

Maria, ur. 1911 r., zamężna z Andrzejem Łobaczem, ur. 1909 r.

Klara, ur. 1913 r.

Tymoteusz, ur. 1915 r.

Piotr, ur. 1917 r.

Genowefa, ur. 1919 r.

Łukasz, ur. 1921 r.

Agnieszka, ur. 1923 r.

Feliks, ur. 1924 r.

Stanisław, ur. 1925 r.

Franciszek, ur. 1927 r.

Rozalia, ur. 1928 r.





## *W poprzedniej części*

Waldemar bezskutecznie zaleca się do Marcjanny. Próbuje zjednać sobie Antosia, licząc na względy jego rodzicielki. Barbara skłania starszą z córek do refleksji nad życiem. Młoda kobieta chce być lepszą matką i zaczyna doceniać to, co dał jej los. Zgadza się na zaręczyny z Waldkiem.

Eustachego nękają koszmary. Mężczyzna postanawia szukać pomocy psychiatrycznej najpierw w Warszawie, a następnie w Krakowie, gdzie trafia pod opiekę znanego doktora.

Pod nieobecność Eustachego ktoś porywa Antosia. Porywacz domaga się pieniędzy w zamian za oddanie dziecka. Eustachy przyjeżdża w samą porę, by zgromadzić żądane środki. Okup zostaje przekazany, lecz chłopczyk nie wraca do domu. Marcjanna za namową szwagra zgłasza wydarzenie na policji. Eustachy postanawia szukać chłopca na własną rękę. Na trop naprowadza go Edward. Orszand zaciąga dług wdzięczności wobec opryszka. Antoni wraca bezpiecznie do domu.

Weronika Skoczylas jest żoną młynarza i matką licznej gromady dzieci. Mąż i teściowa źle traktują kobietę, doprowadzając ją do rozpacz. Młynarzowa ma dość corocznego rodzenia dzieci, więc zwraca się po pomoc do Aliny, licząc na

ostudzenie chuci męża. Zioła nie działają zgodnie z oczekiwaniami kobiety, pojawiają się niemiłe dla niej skutki uboczne. Zdruzgotana Weronika chce sobie odebrać życie, lecz Alina ją ratuje i udziela jej wsparcia. Skoczyłasowa opuszcza męża.

Marcjanna poślubia Waldka. Wkrótce młody mężczyzna może się pochwalić kolegom, że małżonka oczekuje dziecka. Wzbudza tym samym zazdrość w Michale, który szuka ukojenia w alkoholu. Pomiędzy Zdunkiem i jego żoną dochodzi do coraz częstszych awantur. Małgorzata bezskutecznie usiłuje mediować.

Eustachy, uleczony z koszmarów i traumy wojennej, wraca do domu. Alina spodziewa się drugiego potomka. Orszand martwi się, że tym razem ukochana może powić syna, dla którego on nie będzie umiał być dobrym ojcem.

Teodor domaga się od przyrodniego brata sztyletu, który przed laty Eustachy otrzymał od hrabiego.



# 1

## *Kobiece troski*

Rok 1929

*Życie potrafi być takie piękne!* – pomyślała Alina, przygotowując kosz, z którym wybierała się do Weroniki. Miała w nim słodkie bułeczki dla dzieciaków. Prócz tego spakowała płachtę gęsto tkanego lnu oraz jutowy sznurek, które miały zostać przerobione przez Skoczylasową na saszetki do przechowywania ziół. Na koniec dodała jeszcze słoiczek z prezentem dla znajomej.

Dobrze wiedziała, że Weronika w pierwszej kolejności zaspokaja potrzeby swoich pociech. Żyje skromnie, odmawiając sobie wszystkiego, byle niczego nie zabrakło dzieciakom. Alina uważała ją za osobę godną szacunku i podziwu. Niejeden raz słyszała kumochy wypowiadające się krytycznie pod adresem kobiety, która opuściła męża, zostawiając przy nim, przynajmniej początkowo, swe dziatki. Choć Orszandowa nie uważała się za odważną z natury, czasami mieszała się w taką gadaninę, stając w obronie nieszczęśnicy, która znalazła w sobie dość odwagi, by zawalczyć o samą siebie. Czuli się za nią odpowiedzialna, wszak niemalże wyrwała ją ze szponów śmierci.

– Wychodzisz dokądś? – zagadnęła Barbara, widząc krzątającą córkę.

– Tak. Chcę odwiedzić Weronikę Skoczylas. Zabieram ze sobą Jadzię, aby nie plątała ci się pod nogami – oznajmiła, wiedząc, że matka zamierza ucierać krem pielęgnacyjny z przygotowanych wcześniej składników. Od jakiegoś czasu starała się pomagać Alinie w wytwarzaniu kosmetyków, przypraw i mieszanek leczniczych. Nabierała w tym coraz większej wprawy, znacząco odciążając bardzo zapracowaną córkę.

– A! Młynarzową?

– Tak.

– Nie masz obaw, że obnoszenie się z taką przyjaźnią może mieć dla ciebie marne skutki? – zatroskała się matka.

– Niby jakie? – zdziwiła się Alina.

– Możesz stracić część klienteli.

– Dlaczego? Czy dlatego, że jestem życzliwa dla tej bieduli?

– Otóż to. Wiele osób uważa ją za niemoralną. Przystawianie z kimś takim może rzucać cień na twoje dobre imię. – Barbara czuła się zobowiązana do tego, by przestrzec młodą przed możliwymi konsekwencjami.

– Nie wierzę! I ty mówisz coś takiego? – powiedziała srodze rozczarowana córka.

– Nie mam złej woli – bąknęła Małocina.

– Ta kobieta przeszła wiele trudnych chwil. Potrzebuje życzliwości i wsparcia. Nie odwrócę się od niej jak inni!

– Możesz za to słono zapłacić. I bynajmniej nie mam na myśli wyłącznie ziół...

– O to się nie martwię. I nie boję się głupiej paplaniny. Ludzie zawsze będą przychodzili po chleb, bo u nas najlepszy w Sandomierzu. A ja już mam wyrobioną renomę jako

zielarka. Za plecami gadają o mnie, żem szamanka lub wręcz czarownica. – Parsknęła śmiechem. – Żyjemy w dwudziestym wieku, a zabobony wciąż mają się dobrze. Całe szczęście, że teraz nikogo nie pali się na stosie za praktyki, jakie uprawiam.

Liczyła na to, że w humorystyczny sposób rozładuje napięcie, które zaczęło się tworzyć. Nie chciała konfliktu z matką, ale nie myślała ustępować w tym wypadku.

– Jesteś zbyt pewna siebie.

– Nie. Po prostu mam świadomość naszych dokonań. Ja i Eustachy cieszymy się szacunkiem lokalnej społeczności. Ludzie liczą się z nami i z naszym zdaniem, miałam już tego dowody niejednemu raz. Jesteśmy podejmowani w najlepszych domach, gościmy u siebie osoby na określonym poziomie, a to o czymś świadczy. Właśnie tacy jak my mają moc wpływu na opinię gminu. A jeśli ktoś poważny się mnie szkalować, jego problem, nie mój. Mamo! Jesteś przecież kobietą. Powinnaś więc mieć więcej zrozumienia dla drugiej kobiety.

– Żal mi Weroniki – przyznała Barbara. – Ale ważniejszy jest dla mnie twój dobrostan.

Alina przez chwilę spoglądała matce w oczy, jakby chciała z nich wyczytać coś więcej. Wciąż nachodziły ją wątpliwości, czy przemiana Barbary jest autentyczna, bo matka z oschłej, egoistycznej i surowej istoty przedzierzgnęła się w czułą, kochającą osobę.

Czasami tak trudno było o zaufanie.

– Wiesz, mamo? – powiedziała w końcu, odsuwając koszyk nieco na bok, by nie przeszkadzał, i siadając przy kuchennym stole. – Bardzo boleję nad tym, że ludzie potrafią poddawać

innych wyjątkowo surowej ocenie i nie próbują wykrzesać z siebie choćby odrobiny zrozumienia dla cudzych problemów. I co najboleśniej, prym w stawianiu pod słownym pręgierzem wiodą kobiety. Rozumiesz? Kobiety kobietom to robią, choć często tkwią w podobnie trudnych sytuacjach życiowych. Powinnyśmy mieć więcej współczucia dla cudzej niedoli. I dość odwagi, by zamiast zazdrościć tym, które ważyły się coś zmienić w swoim życiu na lepsze, okazywać im szacunek i wsparcie.

Barbara wysłuchiwała tej tyrady w milczeniu. Dopiero po dłuższej chwili westchnęła ciężko.

– Mój Boże... Mój Boże... Jaką ja mam mądrą i wartościową córkę. Wstyd mi, bo to nie ja cię tego uczyłam.

– Czyli zrozumiałaś, czemu muszę odwiedzić Weronikę?

– Tak. Choć nie ukrywam, że i tak martwię się o to, jak ludzie mogą potraktować ciebie, gdy odkryją waszą poufałość.

– Nijak. Nie ja jedna wyciągnęłam pomocną dłoń do młynarzowej. Na szczęście jest więcej ludzi myślących tak samo, choćby pani Dioniza Bukowiecka, która dała jej zajęcie. I jeszcze Małgosia Zdunek, dobry duch Krakówki, poczciwina, która nigdy nie przechodzi obojętnie obok cudzej niedoli. Jadziu! Jadziu! – zwróciła się do córeczki, która podczas rozmowy bawiła się ze szczeniakiem przyniesionym kilka dni wcześniej przez Marka Wilkosza. – Później będziesz uczyła Doksę podawania łapki, choć w moim odczuciu jest na to jeszcze zbyt mała. Teraz idziemy z wizytą.

W rzeczy samej suczka rasy owczarek niemiecki liczyła zaledwie trzy miesiące i wciąż była raczej nieporadną kluską, której na wygładzonych posadzkach rozjeżdżały się łapki,

skorą do figli i bardziej zainteresowaną tarmoszeniem starego kaptcia niż uczeniem się czegokolwiek.

Dziewczynka opieszale podniosła się z podłogi. Chętnie zostałaaby w domu z pupilką podarowaną jej przez eleganckiego pana, z którym przyjaźnił się tato. Zresztą to tatko pokazał Jadzi, jak zajmować się pieskiem.

*Oby tylko z tego pomagania nie wykluło się coś złego* – pomyślała Barbara, spoglądając za odchodzącą córką.

Sama była zdziwiona własną troską, bo kiedyś byłoby jej to obojętne. Doszła jednak do wniosku, że z wiekiem nabrała rozumu i zaczęła należycie ustalać swe priorytety, a dobrostan Aliny zdecydowanie do takowych należał.

– Jak się pani miewa, Weroniko? – zagadnęła Alina, wchodząc do domu Skoczylasowej.

– Jak widać. Jestem już na ostatnich nogach. – Gospodyni poklepała się po wypukłym brzuchu. Następnie zaprosiła przybyłą do rozgoszczenia się w izbie kuchennej.

Dzieci od razu otoczyły Jadzię i zaczęły zagadywać do dziewczynki, kobiety mogły więc spokojnie pogwarzyć.

– Dobrze się pani czuje? Nic pani nie dolega? – drążyła Orszandowa.

– Poza zgagą i puchnącymi nogami jest dobrze. Ale nogi puchną mi pewnie dlatego, że ostatnio trochę przybrała.

Faktycznie, odkąd zamieszkała z dala od męża, sporo przytyła. Jej policzki ładnie się wypełniły, dzięki czemu żłobiące je bruzdy uległy spłyceniu, twarz nabrała zdrowych rumieńców, a sylwetka zaokrągliła się w okolicy bioder i piersi, co

nie było jedynie zasługą mocno zaawansowanej ciąży, ale poprawy trybu życia.

Paradoksalnie, choć Weronika była sama z najmłodszą częścią rodziny, miała znacznie mniej pracy niż wtedy, gdy mieszkała z mężem. Jej inwentarz składał się z kilkunastu kur oraz koguta. Drób nabyła za zaoszczędzone pieniądze tuż przed tym, jak zamieszkały z nią pociechy. Potem do ptactwa dołączyła młoda kózka, która pewnego dnia pojawiła się na podwórku z doczepioną do postronka informacją, że zwierzątko jest dla Weroniki. Na kartce nie było podpisu ofiarodawcy, lecz Skoczylasowa w lot odgadła, że koza pochodzi z hodowli Małgorzaty Zdunek, bo w najbliższej okolicy tylko ona posiadała dość licznie taki inwentarz i mogła sobie pozwolić na szczodry gest. Jeszcze tego samego dnia Weronika powędrowała do zagrody Zdunków, by podziękować za dar. Małgorzata tylko przytuliła ją matczynym gestem i powiedziała, że chrześcijańskim obowiązkiem jest pomaganie bliźnim. A jak kiedyś Weronika będzie miała ku temu sposobność, odwdzięczy się, niosąc pomoc innej potrzebującej osobie. Spłakały się wówczas obydwie ze wzruszenia, bo Skoczylasowej wprost nie mieściła się w głowie taka dobroć ze strony osoby, która była jakoś skoligacona z jej mężem, a nie z nią. Można byłoby więc raczej założyć, że Zdunkowa, wzorem innych osób, będzie trzymała wspólny front z tymi, którzy opowiadali się po stronie Bolka, a ją szkalowali jako wyrodną matkę i żonę. Potem jednak do młynarzowej dotarło, że Małgorzata jest indywidualistką, która zawsze postępuje według własnego widzimisię i lubi pomagać innym. Wszak to ona przygarnęła do siebie nieszczęsną

Marcjanę i jej nieślubne dziecko, narażając się tym samym na szkalowanie.

Tak czy owak, Weronika miała znacznie mniej zajęć niż w domu męża, odżywiła się lepiej, ponieważ dopisywał jej apetyt, a gdy zamieszkały z nią dzieci, odzyskała równowagę duchową. To wszystko pozytywnie wpłynęło zarówno na jej wygląd, jak i na siły witalne, czego nie omieszkala zauważyć Alina.

– Wygląda pani kwitnąco. A na zgage przezornie przyniosłam ziółka, bo pomyślałam, że może pani doskwierać. Mnie niestety wciąż dokucza – nawiązała do własnego stanu. Wyjęła z kosza lnianą saszetkę z aromatyczną zawartością, a prócz niej nieduży słoiczek po brzegi wypełniony jakąś jasną mazią. – Mam jeszcze coś specjalnego – dodała z uśmiechem. – To tylko dla pani, bo każda kobieta potrzebuje się czasem choć trochę dopieścić – podsumowała, wręczając Skoczylasowej upominek.

– Z serca dziękuję! A co to takiego? – zapytała gospodyni. – Bo może ja zapłacę... Mam odłożone parę groszy...

– Absolutnie! Przecież mówię, że to prezent. Krem pielęgnacyjny do twarzy, który przygotowałam z myślą o dojrzałych kobietach. Działa kojąco na przesuszoną skórę. Opracowałam go na bazie dwóch różnych receptur obmyślonych przez świętej pamięci Ambrożego. Moja mateczka stosuje go od kilku tygodni i bardzo sobie chwali, podobnie jak Małgorzata Zdunek i inne panie. Wszystkie zgodnie twierdzą, że przyjemnie ujędrnia ciało. Zawiera pestki z malin, skrzyp polny, pokrzywę i wyciąg z rzepaku. Proszę go przyjąć.

– Jeszcze raz dziękuję, ale gdzie mnie tam się upiększać i po co?

– Dla własnej przyjemności, chociażby – zauważyła Orszandowa.

– To może ja dam choć jabłek? Rosną przy moim domu kosztele i renety. Z renet wychodzi wyborna szarlotka.

– Jabłkami nie pogardzę – ucieszyła się Alina, gdyż przy ich kamienicy nie było drzew owocowych. W jabłka, śliwy, maliny i inne dary natury piekarnia zaopatrywała się głównie u Zdunkowej, uczciwie jej za nie płacąc.

– Świetnie. W komorze mam ładne owoce, zerwane z drzewa, a nie poobijane spady. Powinny się dłużej przechować. Dam, ile pani zechce, choćby połowę.

– Aż tyle ich od pani nie wezmę. Koszyk napełnię, a i to nie po brzegi, bo pewnie bym nie udźwignęła.

– To pošlę do pani Łukasza albo Klarę.

– Ależ nie! – zaprotestowała Alina. – Niech pani zostawi owoce dla dzieciaków. Czeka panią pierwsza zima tutaj, więc wszelkie zapasy się przydadzą.

– Narobiłyśmy z Klarą przetworów. Mam całą piwnicę słoików z tym, cośmy zebrały.

– To dobrze. Ale ma też pani kogo wyżywić. A rozwiązanie kiedy? – zmieniła temat.

– Na dniach. – Weronika westchnęła.

– Boi się pani? – Orszandowej trudno było zapanować nad zdziwieniem. Wszak dla Skoczylasowej to nie była pierwsza. A z każdą następną ciążą jest ponoć coraz łatwiej.

– Bólu? Nie. Poboli i przestanie. Nawet nie lękam się o to, czy przeżyjemy z maleństwem, bo czuję się nieporównywalnie

lepiej niżli wtedy, gdy wydawała na świat Rozalkę. Ale dziecko trzeba jakoś wykarmić.

Alina pokiwała głową ze zrozumieniem.

– Martwi się pani koniecznością wzięcia mamki – stwierdziła.

Skoczylasowa przytaknęła.

– Mamce też trzeba zapłacić, a ja liczę się z każdym groszem. Choć właściwie może nie powinnam się aż tak mocno o to turbować, bo Klara po powrocie ze szkoły dużo pomaga w szyciu i oddaje mi większość zarobionych przez siebie pieniędzy. Ale już chyba taka ludzka natura, że wciąż się czymś trapiamy – skwitowała.





## 2

# *Marzenia*

Widłakowie mieszkali na Krakówce z dziada pradziada. Zajmowali przeciętnej wielkości domostwo posyite strzechą, wypadające raczej skromnie w zestawieniu z pobudowaną po sąsiedzku chałupą Zdunków, którą wieńczył dach z mocno pościemniałych gontów. Dom był pobielony, składał się z izby kuchennej, pokoju gospodarzy oraz ciemnej komory. Na przyzbie często siadywał nestor rodu, stary Jakub, by wygrzewać do słońca leciwe gnaty. Ignorował tym samym otwarty ganek, na którym stała ławka przeznaczona do wypoczynku, choć zazwyczaj na tym meblu piętrzyły się jakieś klamoty, a sami Widłakowie dla wytchnienia obsiadali schodki lub przyzbę.

Rodzina składała się z Jakuba, którego najstarszy syn, Bartłomiej, gospodarował teraz w domu wraz ze swą żoną Dorotą. Dochowali się piątki potomków, spośród których najstarsza Hanka wyróżniała się nieprzeciętnie gęstymi ciemnymi włosami. Tę właśnie pannę upatrzył sobie jakiś czas temu Tadeusz Skoczylas i to do niej chciał posyłać swatów, czego mu ojciec do niedawna uporczywie odmawiał.

Odkąd z domu młynarza odeszła Weronika, a w ślad za nią Klara i najmłodsza część dziatwy, w chałupie Skoczylasów

zrobiło się zdecydowanie luźniej, łatwiej więc byłoby w jego progi wprowadzić nową mieszkankę. Po dezercji Klary oraz Gienki ewidentnie brakowało kobiecych dłoni, bo Jędrzejowa okazała się zbędna w chałupie w roli mamki, a na inne prace nie chciała się zgodzić, Mieczysława natomiast ledwo nadążała z robotą i wciąż się odgrażała, że odejdzie ze służby.

Cóż, gdy Bolkowi nie odpowiadała kandydatka na synową w osobie Hanki.

– Urodą kaszy nie okraszisz – perswadował synowi. – Po ślubie Hanka włosy zetnie i tyle z jej piękna. W najlepszym razie będzie je nosiła zwinięte pod chustką i ani się obejrzysz, jak posiwieje, a z warkoczy zostaną dwa mysie ogony. A z twarzy szcurzy pyszczek. Baba jest od roboty i rodzenia dzieci, to fakt. Ale wypada, by wniosła coś we wianie. Coś więcej niżli ładny wygląd. A Hanka na niewiele może liczyć, bo ojce gospodarkę mają maciupką i pięcioro dziatwy do obdzielenia.

– U nas też jest między kogo dzielić majątek – zauważył roztropnie syn.

– Tym bardziej więc winieneś poszukać sobie posażniejszej panny. To już Maciek więcej ma oleju w łepetynie, bo u Nawrotów byli tylko Józik i Ludwiśka. Józka wykierowali na szewca, dobrze się smarkacz ustawił, a Ludwiśka, jak spłaci brata, zostanie panią na swoim. Prędzej pozwolę, aby Maciek posłał swatów do Nawrota. Bo Maciek mógłby zamieszkać u teściów. Tobie by dalej we młynie pomagał, to nie musiałbyś mu dawać spłat, tylko wynagrodzenie za trud, podobnie jak kiedyś Tymkowi. Ino poszukaj se dziewczuchy posażnej, inaczej czeka cię bieda. Sam widzisz, że mam was dużo, każdego trza czymś obdzielić.

– Ojciec, a nie bądźże taki zawzięty. Dyc Hanka coś tam od starych dostanie. A nam w domu koniecznie potrzebna gospodyni, bo jak wiesz, babka już nie daje rady. A na matkę nie ma co liczyć – podsumował z goryczą.

Wciąż czuł żal do rodzicielki za jej odejście. I wściekły był na resztę rodzeństwa, że tak łatwo jej wybaczyli. Ba! Nawet że część wołała zamieszkać z nią, choć dla niego to lepiej, bo w domu zwolniło się miejsce, które mogłaby zająć Hanusia.

Panna była niebrzydka, młodsza od niego zaledwie o dwa lata, czyli rówieśnica Maryśki. I choć niezamożna, przypuszczał, że niebawem przyjmie wizytę niejednych swatów, gdyż dziewczęta za mąż szły znacznie młodziej niż chłopcy, czego ewidentnym przykładem była najstarsza spośród jego sióstr, stateczna męzatka oczekująca swej pierwszej dzieciny. Tadek bardzo by nie chciał, aby go ktoś ubiegł w wyścigu do Hanusinej ręki.

– Pomyślę jeszcze – odparł w końcu ojciec, zły, bo młody na pogaduchy wybrał sobie czas, gdy wciąż był huk roboty.

Wrzesień przeminął, a październikowe dni stawały się coraz krótsze. Ludzie wciąż wozili mnóstwo ziarna do mielenia, każdemu się paliło, choć wiadomo, że czasami lepiej niż mąkę przechowuje się ziarno. Bo mąka łatwiej może zatechnąć. Ale i z ziarnem kłopot, jak zawilgnie, to szernieje lub zacznie kiełkować.

*I tak źle, i tak niedobrze* – pomyślał Bolek, oznaczając w notatniku kolejny worek zmielony dla Widłaków. Chyba właśnie stąd wziął się irytujący temat do rozmowy.

Tadek, słysząc zapowiedź ojca, odetchnął nieznacznie. Bo w tym „pomyśleniu” zobaczył iskierkę nadziei. Stary miękł.

Przecież miał oczy i widział, co się dzieje. W chałupie, co nigdy wcześniej się nie zdarzało, były brud i smród. Mietka oporządzała bydło, robiła w polu i ogrodzie, prała łachy i warzyła strawę. Sprzątanie traktowała po macoszemu. Ot, statki pozmywała, przetrąta blat stołu. Ale mycie podłóg czy omiatanie kątów z pajęczyn nie zaprzętały jej uwagi. Były sprawy ważne i ważniejsze, pośród których utrzymanie porządku w domu zdecydowanie schodziło na dalszy plan.

Tadek jakiś szczególnie porządnicki nie był, ale zauważył, że nawet pościel już nie pachnie tak świeżo jak dawniej, bo nie ma komu wietrzyć pierzyn i piernatów, o praniu poszew nie wspominając.

Tak. Gospodyni była pilnie potrzebna.

A skoro matka poszła mieszkać do chałupy po babce Gądkowej, to czemu on nie miałby przyprowadzić Hanki pod dach ojca?

Wieczorem, po robocie, Tadek ochlapał się w balii, by zmyć z siebie całodzienny znój. Włożył najświeższą koszulę, jaką miał, z irytacją odkrywając brak guzika. Sam musiał go przyszyć, na szczęście matula dawno temu każdemu pokazała, jak się to robi, bo na sługę w tej kwestii mógłby się nie doczekać. Mietka zrobiłaby to może tuż przed odejściem do rodzinnej chałupy na nocny spoczynek, nie sypiała bowiem u nich, tylko przychodziła skoro świt. Albo odłożyłaby szycie na następny dzień. A on potrzebował przyodziewku już teraz, gdyż wybierał się do Goldblumów na wieczorne tańce, licząc, że spotka w gospodzie Hanusię. Zamierzał się z nią rozmówić

w kwestii ewentualnych swatów, chciał najpierw wy badać grunt u panny, bo zawsze to łatwiej, gdy ma się ukochaną po swojej stronie, choć wiadomo, że decydujące jest zdanie rodziców, a w szczególności ojca.

Razem z nim wybierał się Maciek, który miał nadzieję spotkać Ludwisię. On także coraz częściej zagadywał ojca o wyprawienie swatów do Nawrotów i jemu prawdopodobnie szczęście mogło wcześniej dopisać, choć od Tadka był młodszy. Zasadniczo smarkaty, bo czym jest dziewiętnaście lat? Do żeniaczki rwali się obydwaj. Jeden i drugi czuł wolę bożą, jak mawiała babka Krystyna. Obydwaj mieli już za sobą pierwsze miłosne przygody z pannami o wiadomej reputacji, jakoś musieli przecież rozładowywać napięcie, które regularnie w nich wzbierało. Po ojcu chyba byli tacy jurni. I właściwie żaden nie chciał się wycierać po krzakach z dziwkami, każdy wolałby łożę małżeńskie, a w nim ukochaną dziewczynę. Tadek byłby zły, gdyby brat go wyprzedził na ślubnym kobiercu, lecz serce nie sługa, nie chciało posłuchać głosu rozsądku i zabić żywiej w obecności panny, która z ojcowskiego punktu widzenia byłaby lepszą kandydatką na żonę. Kawaler czuł, że woli uboższe życie, byle z Hanią, a nie kobietą, którą wybrano by za niego. Bo czasami swatowie sami składali rodzicom różne propozycje, nie licząc się ze zdaniem młodzieży, i raili małżeństwa wedle własnego uznania. Panien w okolicy nie brakowało, sęk w tym, że Tadeusz ku żadnej nie miał pociągu. I tylko z Hanią lubił tańcować w karczmie, i tylko jej skradł kilka razy całusa, gdy ją odprowadzał do chałupy.

W gospodzie panowały ścisk i zaduch, choć na zewnątrz już odczuwało się jesienne chłody. Uchyłono nawet okno, by

wpuścić trochę powietrza. Właściwie nie było w tym nic dziwnego, że ludzie tak tłumnie przybyli na tańce. Robota w polu dobiegała końca, zostały jeszcze zagony kapusty do zebrania, a potem ukiszenia. Na kiszenie będą się schodzili po domach, by szatkować i deptać, ale to za kilka dni. Na razie cieszą się zakończonymi wykopkami i plonami zebranych z sadów. Należało też wytańczyć się do woli, zanim przyjdzie ponury listopad, a po nim powaga adwentu. Przy stołach stłoczonych pod ścianami było więc ciasno, ale i pośrodku izby, gdzie pozostawiono miejsce na tańce, nie wyglądało to lepiej.

Przez perturbacje z oberwanym guzikiem Skoczyłasowie przybyli do karczmy późno. Musieli więc pić piwo na stojąco, wypatrując wśród amatorów zabawy tych dziewczyn, które wzbudzały ich największe zainteresowanie. Panny zajęte były tańcami, a te, które nie znalazły kawalerów do hulanki, gniotły się na jednej ławie pod oknem. Tadek zlustrował zgromadzone uważnym spojrzeniem, lecz nie dostrzegł Hanki. Dopiero po chwili mignęły mu przed oczami dwa okazałe warkocze bawiącej się dziewczyny. Rad nierad musiał poczekać, aż muzyka ucichnie, dopiero wtedy, stwierdził, będzie szansa na taniec z Hanką, a później może nawet na spacer dla ochłody.

Maciek miał więcej szczęścia, Nawrotówna siedziała z koleżankami, popijając lemoniadę. Nie czekając na nic, podszedł do niej, skłonił się jak należy i porwał pannę w tany.

*Ech, szczęściarz!* – pomyślał Tadek, zezując na brata. – *Ten to chyba w czepku jest urodzony, choć młodszy ode mnie.*

Może i dziwne to było, lecz Maćkowi zawsze jakoś dopisywała fortuna. Życzliwsza okazywała się dla chłopaka pod

wieloma względami, choćby i tym, że ojciec nie bronił synowi amatorów z Ludwiką, a młyn postanowił przekazać trzem najstarszym synom pod wspólny zarząd, choć pierwotnie to Tadek miał go otrzymać.

A może to i lepiej? Przynajmniej nie będzie musiał spłacać chłopaków, jakoś się dogadają przy dzieleniu zysków. Może stary miał łeb na karku, podejmując taką decyzję? Sęk w tym, że z tego właśnie powodu tak nastawał, by Tadek żenił się z posażniejszą panną, choćby i z Sandomierza. Byle z kapitałem w gotowym pieniądzu lub z konkretnym wianem.

*Przekonam ojca* – rozmyślał, sącząc zimne piwo i spoglądając na Hanke.

Zaświtała mu w głowie myśl, że mógłby pójść drogą na skrót: gdyby zbałamucił ukochaną, zerwał jej wianek i zmajstrował dzieciaka, to dla przyzwoitości musiałby się z nią ożenić, bo przecież nie wypierałby się swoich czynów. Tylko że do takiego kroku potrzebna mu była przychylność dziewczyny, a tej mimo wszystko nie był całkowicie pewien. Porządne panny nie chciały ryzykować, szargać sobie opinii i iść do ołtarza z brzuchem, choć oczywiście zdarzały się takie przypadki. On mógłby Hance na wszystkie świętości przysiąc, że się z nią ożeni, byle tylko zechciała mu się oddać. I słowa by dotrzymał, niczego by nie ryzykowała. Potrzebował jedynie jakiegoś argumentu, który ostatecznie przechyliłby szalę ojcowskiej życzliwości na korzyść tego małżeństwa.

Przydusiłby ją również dla własnej przyjemności. By posmakować delicii kryjących się pod odświętną bluzką haftowaną w kwiaty i spódnicą z lekkiej wełny.

Był jeszcze jeden argument, którego wcześniej nie użył w rozmowie z tatą, choć powinien był to zrobić. Otóż lepsza pracowita choć uboższa panna z rolniczej rodziny niżli bogaczka, która nic nie potrafi zrobić. Gdyby wziął za żonę sandomierzankę, musiałby się liczyć z tym, że należałoby ją wszystkiego nauczyć. I że wcale nie byłoby z takiej większego pożytku niż z Mietki.

*Że też mi to wcześniej nie przyszło do głowy! – zachnął się, dopijając ostatnie krople piwa. – Przecież taka Hanka z robotą w domu i polu jest obeznana, przecież od małego pomaga rodzicom. Na pewno nie boi się wysiłku. Ba! Dla niej jestem świetną partią, bom zamożniejszy od starego Widłaka. Na pewno zechce się wyrwać z rodzinnej chatupy, bo każdy chce mieć w życiu łatwiej i lepiej, niż ma.*

Wraz z piwem wlanym w gardło w jego umysł spłynął optymizm. Tadek uwierzył, że wszystko ułoży się wedle jego woli, a Hania tylko mu w tym dopomoże.

Hania zgodziła się na taniec z Tadeuszem. Ten chłopak od zawsze jej się podobał i był taki czas, gdy sobie roiła, że zostanie młodszą młynarzową. Nawet rodzice rozmawiali z nią kiedyś na ten temat i zgodnie stwierdzili, że dobrze byłoby, gdyby Skoczylasowie przysłali swatów. Nie okazywali zniecierpliwienia, bo wiedzieli, że młodzi mają się ku sobie, a Tadek obtańcowuje ich córkę przy każdej sposobności. I że zachodzi we wszystkie te miejsca, gdzie spodziewa się na nią natknąć. Zwłokę w tej kwestii składali na karb młodości chłopaka. Może Bolek chciał, ażeby syn trochę dojrzał? Może uważał go

za zbyt smarkatego na żeniaczkę? A może chodziło o ciasnotę w ich chałupie? Krążyły jednakowoż słuchy, że młodemu ma pobudować nowy dom, więc równie dobrze to mogło być powodem, dla którego swatowie nie przybywali. Bo chyba nie chodziło o względy materialne czy niechęć ku Hani, choć czasami ogarniały ich wątpliwości, czy bogacze nie uznają ich córki za nazbyt biedną dla syna. Ale gdy analizowali ich sytuację rodzinną, szybko stwierdzali jedno: Skoczylasowie mają tak wiele dzieci, że nie powinni wybrzydzać. Teraz uchodzili za lokalnych krezusów, ale w przyszłości ich majątek ulegnie całkowitemu rozdrobnieniu. Tak czy inaczej, Dorota Widłak wciąż napominała córkę, by ta postępowała roztropnie i nie zniechęcała do siebie kawalera, ale też nie pozwalała mu na zbytnią poufałość, często przecież bywa tak, że gdy chłopiec dostanie, czego chce, to potem rzuca pannę jako zbyt łatwą zdobycz.

Ostatnio jednak matka zmieniła front. Zaczęła przestrzegać córkę przed Skoczylasem, twierdząc, że jego rodzina jest dziwna, bo kto to widział, by baba zostawiła swe dzieci i opuszczała dom. Plotki o Weronice znali już chyba wszyscy, lecz Dorota jako jedna z nielicznych uważała się nad młynarzową.

– Bolek źle ją traktował, więc nie dziwota, że odeszła. Sama słyszałam, jak na nią burczał i jak wyzywał ją od szczurów. A potem robił swoje, bo niby skąd tyle dzieciaków? Dla kobiety to upokarzające, gdy musi się kłaść z chłopem, który jej nie szanuje. Uważaj więc, córciu, by cię Tadek nie zwiódł. I raz na zawsze zapamiętaj moje słowa: jaki ojciec, taki syn! Żebyś później z płaczem nie przychodziła, bo jak sobie pościelesz, tak się wyśpisz. Werka, jak była młoda, świata poza

Bolusiem nie widziała. A teraz co? Jakże to świadczy o tych ludziach?

Hanka nieco niechętnie słuchała matczynych słów. Nie negowała ich jednakże, zdając sobie sprawę, że kto jak kto, ale rodzona matula nie chce dla niej złej doli. Choć serce wyrywało się do kawalera, rozum mówił, by miała się na baczności, bo los kobiety tak czy owak jest trudny.

– Nie ośmielaj Tadka, aby czasem nie przysłał do ciebie swatów. Bo jak im ojciec odpije, to trudno będzie się sprzeciwić. A ja nie chcę cię puszczać na ciężki żywot i na zmarnowanie. Bolkowa nie bez powodu poszła precz z chałupy.

Ziarno niepewności zostało skutecznie posiane i trafiło na podatny grunt. Bo Hanka, choć jej się kiedyś marzył mariaż z Tadeuszem, bardziej ufała matce niż komukolwiek innemu. Wszak mateczka nigdy nie wyrządziła jej krzywdy. Nie biła jej, nawet nie podnosiła na nią głosu. Zawsze pozostawała łagodna i czuła dla całej swej gromadki. Hania nie musiała przed nią dygotać ze strachu, a mimo to była jej całkowicie posłuszna. I nawet tatulo niejeden raz mówił, że małżonkę ma nadzwyczaj poczciwą i rozumną. A skoro ojciec często zasięgał u niej rady w różnych kwestiach, oznaczało to, że faktycznie musi być mądrą kobietą.

Mądrość nie każdemu dana jest ot tak.

Koleżanka Hani, Marysia Skoczylasówna, wydała się już za mąż za Andrzeja od Łobaczów. Przed ślubem opowiadała, jak to Jędrus ją kocha, jak gwiazdkę z nieba obiecuje, a teraz nie miała czasu na nic, nie pokazywała się ze ślubnym w gospodzie. Chodziła urobiona po łokcie, jakaś zabiedzona, nieswoja. Raz tylko, gdy się spotkały z Hanią na gościńcu,

przestrzegła przyjaciółkę, by się nie spieszyła przed ołtarz, bo wszyscy chłopcy są jednacy – najpierw plotą różne głupstwa, by sobie zjednać pannę, a po ślubie pokazują, na co ich stać. I że ona już zdążyła pożałować szybkiego zamążpójścia.

– Głupia byłam, ot co – skwitowała, ledwo panując nad płaczem. – Mateczka mnie przestrzegala, alem nie chciała jej słuchać. Bądźże choć ty mądrzejsza ode mnie.

I co począć w takiej sytuacji, gdy zarówno niegdysiejsza najlepsza przyjaciółka, jak i matka mówią jednym głosem? Ale za mąż trzeba przecież kiedyś pójść, bo jakże tak zostać starą panną? Na porotę chyba!

Miała Hanka nad czym myśleć, lecz gdy ją kawaler zaprosił do pląsów, nie odmówiła, gdyż tańcować potrafił jak mało który. Wszak zabawa to jeszcze nie ślub, usprawiedliwiła w duchu samą siebie. Poddali się skocznym rytmom, niesieni dźwiękami muzyki. Czuła ciężar warkoczy odbijających się od jej pleców i ramion, ich gruby splot okręcający się niekiedy wokół smukłej szyi. Odrzucała je niedbałym gestem, choć wiedziała, jaki zachwyty wzbudzają u innych. Zazdrościły jej dziewczęta tego bogactwa, bo mogłaby nimi ze dwie panny obdzielić. Podziwiali je chłopcy, a i czasami któryś ją za nie ciągnął, żartując, że zacny byłby z nich postronek. Pochłonęła ją hulanka. I tylko Tadek niepotrzebnie wciąż zaglądał jej w oczy, jakby chciał ją wzrokiem prześwidrować na wylot. Unikała jego spojrzeń, denerwowała się, gdy za mocno przyciskał ją w tańcu. Szybko pożałowała, że dała mu się zaprosić.

Tymczasem melodia wygrywana przez grajków dobiegła końca. Tadek, zamiast odprowadzić Hanke na miejsce, ścisnął jej dłoń i zaproponował przechadzkę.

– Kiedy ja nie mam ochoty wychodzić – marudziła panna pomna matczynych przestróg.

– Chodź – namawiał. – Nie pożałujesz.

Wiedział, że każda dziewczyna marzy o zamążpójściu. Mimo wszystko uważał się za atrakcyjnego kawalera do wzięcia. Z drobną pomocą sprzyjających okoliczności przekonałby ojca, że dla niego przyszedł najlepszy czas na zakładanie rodziny.

– Jeszcze mi reputację popsujesz – odparła jakby na przekór.

– Nie popsuję. Mam ważną sprawę do omówienia. Nie chcę gadać tutaj w gospodzie, w tym gwarze i przy tyłu ludziach.

Hanka pomyślała, że w ostateczności mogłaby z nim pójść. Wyperswadowałaby mu wszelkie podchody i ewentualne przysyłanie swatów, choć trochę jej żal było tych tańców, których już nie będzie, bo to oczywiste, że Tadek przestanie zwracać sobie głowę zabawą z kimś, kto go nie chce. Ale z dwojga złego lepiej będzie uporządkować tę sprawę, zanim ludzie zaczną mówić, że nadto się z nim spoufala.

Narzuciła na ramiona i plecy wełnianą chustę, by nie zmarznąć w wieczornym chłódzie, następnie wyszła z Tadekiem z gospody. Bez pośpiechu ruszyli gościńcem prowadzącym w stronę Sandomierza, pozostawiając za sobą duszną, wypełnioną hałasami karczmę. Tadek szukał przez chwilę jej ręki, lecz ona szła z dłońmi splecionymi przed sobą, nie chciała jego dotyku. Musiała być nieugięta, gdy dojdzie do poważniejszej rozmowy.

– Hanusiu. – Ciszę przerwał Skoczylas. – Rozmawiałem z ojcem, by posłać swatów do twoich rodziców.

– A czemu żeś mnie nie zapytał wprzód o zdanie?

– Właśnie próbuję ci o tym powiedzieć. Podobasz mi się od dawna i mam nadzieję, że z wzajemnością. Zawsze byłaś dla mnie miła... – Urwał, szukając w myślach odpowiednich słów, by niczym nie uchybić ukochanej, lecz zręcznie przekonać ją do swoich racji. Nie było mu jednak dane wyłuszczyć planów, gdyż Hanna go ubiegła.

– Byłam miła, to prawda, tak mnie przecież matula z ojcem wychowali. Ale swatów do mnie nie przysyłaj, bo nie odpiję do nich, choćby mi tatko kazał.

– A to czemu? – zapytał zdziwiony chłopak.

– A temu, że różnie ludzie o was gadają. I o twojej matce. Słyszałam, że młynarz źle ją traktował, więc uciekła. A ja wiem, że jaki ojciec, taki syn. I boję się, że mogłabym podzielić jej dołę – przyznała do bólu szczerze.

Tego się nie spodziewał. Poczul się tak, jakby go ktoś zdzielił pięścią w sam środek brzucha. Cud, że nie zgięło go wpół.

– Haniu. Co za niedorzeczność? Haniu? Czemu ja miałbym ciebie źle traktować? Tyś moim słońkiem na niebie. Ja bym ci gwiazdkę podarował, każdy kamień usunąłbym ci spod nóg, byś nie uraziła stopy, stawiając nieuważne kroki – zapewnił żarliwie.

– Ja nie wierzę twym słowom, Tadeuszu. Bo każdy kawaler obiecuje gruszki na wierzbie, a gdy mężem się staje, to jakby go ktoś odmienił. Twoja siostra nie innej doli doświadcza z Andrzejem. Po co mi więc iść za ciebie za mąż?

– Bo ja taki nie będę, naprawdę! Wiem, że o moim ojcu różnie plotą, ale on wcale taki zły nie jest. Nigdy na matkę nie

podniósł ręki. I kochał ją szalenie, bo przecież tyle nas mają... To matce przyszło coś niedobrego do głowy, że nas zostawiła. – Próbował bronić ojca, nie zdając sobie sprawy, że tylko pogarsza sytuację.

– Mniejsza o to, kto winien. Twoja rodzina jest na cenzurowanym, a ja chcę spokojnego życia, bez ludzkiego gadania. I w poszanowaniu. Nie trudź się więc ze swatami.

– Czyli że mnie nie kochasz? Że wszystko między nami było błagą? Żeś mnie zwodziła spojrzeniami i gdym cię trzymał za rękę, i patrzył ci w oczy, i całował...

– Zamilcz! – przerwała mu gwałtownie. – Nie przypominaj. Lepiej, byśmy obydwójce czym prędzej o tym zapomnieli. Potrafię oddzielić serce od rozumu, a ten mi podpowiada, bym nie skazywała samej siebie na poniewierkę.

– Jaką poniewierkę? – zachnął się młody, wciąż jeszcze ufając, że zdoła przekonać Hanię do swych argumentów. A przynajmniej że panna pozwoli do siebie przysłać swatów. Trudno. Będzie musiał jeszcze raz rozmówić się z ojcem. Jakoś na niego wpłynie. Byle nie stracić Hani, bo tego by chyba nie przeżył. – Toć ja będę cię miłował ze wszystkich sił. Po kres świata. Nigdy nie przestanę. I nie pozwolę, by działa ci się krzywda – mówił z żarem, choć samemu sobie zadawał kłam, bo przecież nie mógł zaręczyć, że Hanka będzie miała przy nim jak w raju. W chałupie czekał na młodą gospodynię huk zajęć. Gromada ludzi do wykarmienia, oprania, obszycia. Prócz tego obrządki, robota w polu i sprzątanie. A jeszcze pewnikiem dzieciak się przytrafi jeden czy drugi, więc na pewno nudy nie będzie. Tego wszystkiego jednak nie mógł rzec na głos, by nie odstraszyć dziewczyny.

Jak nie ulec chłopięcym zapewnieniom głoszonym z takim zapałem? Hania czuła, że jeszcze moment, a jej cała stanowczość rozptłynie się niczym poranna mgła.

– Lepiej wracajmy – zadecydowała.

– Daj mi choć nadzieję – upierał się chłopak, ujmując i ścisnąjąc jej dłoń.

– Nadzieję? Na co? Ja już wszystko powiedziałam.

– Na to, że zmienisz zdanie. Przecież wiesz, że jestem bogatszy od twojego ojca. U mnie ptasiego mleka ci nie braknie. A sprawą pomiędzy moimi rodzicami się nie przejmuj. Na pewno jakoś się dogadają, bo to niepodobna, by tak żyć. Matka lada dzień powije dziecko i jestem pewny, że nim to nastąpi, wróci do domu, bo jakże sobie poradzi? W każdym małżeństwie pojawiają się czasami jakieś nieporozumienia, które potem się wyjaśniają. Tak będzie i z moimi ojcami. A potem ludziska o wszystkim zapomną, przecież my, Skoczylasowie, od zawsze cieszyliśmy się szacunkiem. Sam pójdę do matuli, by z nią pomówić i nakłonić ją do zgody z tatą.

Zapalił się do tego pomysłu i już wiedział, że wprowadzi go w życie czym prędzej. Przecież rodzicielka musi się ugiąć, bo się nie godzi, by baba tak postępowała. To wbrew naturze! Wbrew naukom plebana, wbrew porządkom panującym na świecie!

Dziewczyna zerknęła na niego z niedowierzaniem.

W świetle księżyca lśniły jej oczy, lecz nie potrafił w nich wyczytać, co pannie chodzi po głowie.

– Powiedz, że mam szansę – skwitował.

– No dobrze. Jeśli twoi rodzice się pogodzą, wezmę pod uwagę to, coś mi rzekł. Ale wcześniej nie waż się przysyłać do mnie swatów.

Czuł, że ma przed sobą nieliche zadanie. Bo nie dość, że musi przekonać ojca do swych planów matrymonialnych, to jeszcze czeka go pogodzenie skonfliktowanych stron. Ale może jeśli uda mu się załatwić sprawę z matką, to ojciec z radości i wdzięczności zmięknie? Przecież dla niego to ujma na honorze, że ślubna go porzuciła.

A jeśliby matka wróciła, zwolniłby się dom po babce Gądkowej, w którym Tadek mógłby zamieszkać z Hanką. Mieliby tam jak u Pana Boga za piecem: sami w niemałej chałupie!

Weronika, choć nadrabiała miną i starała się tego nie okazywać, panicznie wręcz bała się porodu. I nie przerażała jej bynajmniej wizja bólu, który był nieodłącznym towarzyszem wydawania dziecka na świat, lecz chodziło o coś zgoła innego: o to, że jak wiele kobiet może tego po prostu nie przeżyć. Wszak i ją mogło kiedyś opuścić szczęście w tym przypadku, bo do tej pory, choć jej na życiu nie zależało, wszystko szło gładko. Gdy nie chciała żyć, nie bała się śmierci ani tego, co będzie z jej dziećmi. Ufała, że ktoś się o nie zatroszczy: Bolek, świekra, a może macocha, która z całą pewnością pojawiłaby się w chałupie, jeszcze nim jej kości rozsypałyby się w proch. Wdowcy obarczeni małoletnią dziatwą nie zważali na żałobę i szybko szukali zastępstwa za zmarłą połowicę. Bo ktoś musiał opiekować się potomkami, dbać o dom i inwentarz. Gotować. Sprzątać. Wykonywać niezliczone prace.

Był czas, gdy marzyła o wiecznym odpoczynku, tak bardzo zmęczona była życiem. Ale to należało do przeszłości. Teraz pragnęła za wszelką cenę przetrwać, i to przede wszystkim

dla dzieci. Przecież jest czymś oczywistym, że żadna macocha nie będzie dla pasierbów równie czuła jak rodzona matula. Już samo brzmienie słowa „macocha” przyprawiało Weronikę o dreszcze, bo miało jakiś taki nieprzyjemny wydźwięk i nie dało się go pieszczotliwiej sformułować. Matka mogła być mateczką, matusią, matulą, matuleńką, a macocha to macocha. Żadna macoszka. Ten nieładny wyraz w odczuciu Skoczylasowej definiował stosunki rodzinne.

*Jak mogłam być tak głupia i samolubna, by pragnąć własnej śmierci?* – rozmyślała, spoglądając na śpiące spokojnie dzieciaki. Sama też szykowała się na nocny spoczynek. Jeszcze tylko miała zmówić pacierze, a potem będzie mogła ułożyć się do snu. Nim jednak zaśnie, przeprosi po raz kolejny Najświętszą Panią i Ojca Niebieskiego za to, czego omal się dopuściła. I będzie błagała o szczęśliwe rozwiązanie i zdrowe dzieciątko. Bo kto wie, czy z tamtej głupoty nie zrodzi się jej jakaś pokraka? Albo bezrozumna istotka, taka sama niedojda jak świętej pamięci Wojciech, brat Bolesława? I jeszcze podziękuje swemu Aniołowi Stróżowi, że stał na straży, a zapobiegając jej podłym poczynaniom, przysłał wybawczynię w postaci zielarki.

*Byle przeżyć, byle przeżyć* – powtarzała sobie w duchu, gdy nagle jej ciało przeszył znajomy ból, a po nim przyszedł kolejny. Mogła się tego spodziewać: dziecina chciała na świat!

– Klarcu, Klarcu! – zawołała córkę, która co tylko przycisnęła głowę do poduszki. – Trzeba mi Grzegorzowej. Zaczyna się – oznajmiła.

Romuald Skoczylas narodził się niespełna godzinę później, nie przysparzając matuli wiele cierpienia. Był silnym chłopczkiem o zdrowym gardziółku i płucach, czego dowód dał, oznajmiając swe przybycie głośnym krzykiem.

*Przeżyłam* – pomyślała Weronika, tuląc noworodka do piersi.

Czekał ją jeszcze połóg, lecz z optymizmem spoglądała w przyszłość.

Czuła się silniejsza niż kiedykolwiek.



### 3

## *Damskie i męskie problemy*

Michał niespiesznie wędrował przez Sandomierz. Skończył pracę, lecz nie miał ochoty na powrót do domu, gdzie czekała na niego swarliwa małżonka, która od wielu miesięcy suszyła mu głowę o reperację płotu. Ostatnio nawet tak się zawzięła, że pochowała gdzieś wędkę i oznajmiła, żeby wybił sobie z głowy łażenie na ryby, póki nie dokona w obejściu wszystkich niezbędnych napraw. Jak na złość dziurawy płot był niejedynym mankamentem. Należało jeszcze poprawić zadaszenie nad gankiem, bo przy słotach woda zalewała wejście do domu. Ślubna domagała się bielenia ścian w izbie paradnej, wymiany desek w łózkach pod siennikami i jeszcze innych rzeczy, do których on nie miał serca. A raczej ochoty, by się do nich brać.

Nogi same powiodły go do karczmy. Skoro ślubna ima się tak niecných czynów jak ukrywanie jego wędek, to on też nie musi być w stosunku do niej w porządku. I choć obiecywał, że nie sięgnie więcej po gorzałkę, nie zamierzał naginać karku przed jędzą. Zresztą mowa była o wódce, a nie o piwie, na które tego dnia miał chęć.